

dr Tomasz Kozłowski
Katedra Edukacji i Nowych Mediów
Wydział Nauk Społecznych
Collegium Da Vinci, Poznań

Kciuk pogardy, uśmiech nienawiści

„Przemysł pogardy” to znacznie więcej niż szczucie na siebie stron sporu politycznego. To racja bytu współczesnego porządku komunikowania. Ale to także stan umysłu, który przez lata dojrzewa w stresującym środowisku nieustannego pośpiechu. Wyzbyć się pogardy można tylko poprzez współczucie. Ale przecież na nie... również potrzeba czasu.

Żal mi polityków. Naprawdę im współczuję.

Nietrudno wyobrazić sobie filmowe sceny kłótni – na przykład małżeńskich – w których oboje małżonkowie starają się sobie udowodnić, jakimi to kanalami, z upływem lat i dogasaniem namiętności, okazali się dla siebie i jaką to kloakę, w miejsce normalnego życia, nawzajem sobie urządzili. W którymś momencie pada zazwyczaj kwestia: „żal mi cię”. Wypowiada się takie słowa na ogół z nieskrywaną pogardą, z grymasem wstrętu (*notabene* udowodniono, że im więcej takich grymasów w codziennych interakcjach, drastycznie wzrasta prawdopodobieństwo rozwodu). Ze współczuciem ma to wspólnego niewiele. Pisząc, że „naprawdę” żal mi polityków, mam na myśli prawdziwy żal, nie ten filmowy, nie ten podszyty wzdargą.

Świnie i empatia

Jakiś czas temu totalnie wycofałem się z życia politycznego. Brzmi to zabawnie, zwłaszcza, że nie jestem politykiem a mój wpływ na sprawy publicznego kalibru jest mniej niż znikomy. A jednak, nie głosuję (inaczej: wrzucam do urn nieważny głos), a pytany niekiedy o komentarz polityczny – uprzejmie go odmawiam. Jakoś tak... mało mi wygodnie, więcej, brzydzę się. Tematu, siebie w jego kontekście. Bartek „Fisz” Waglewski rapował: „nie dotykam, nie tykam wrednej gęby polityki”. Z kolei Rafał Ziemkiewicz z typowym dla siebie wdziękiem w jednym z felietonów przytomnie stwierdził, że jeśli wybory organizuje się w chlewie, nie można oczekiwać, że raptem zwycięży w nich orzeł. Coś w tym jest, w jednym i drugim. Ale trafia do mnie również cytaty z Dana Browna: „Najmroczniejsze czeluście piekiel zarezerwowane są dla tych, którzy zdecydowali się na neutralność w dobie kryzysu moralnego”. Dlatego chwilę pomyślałem o moim stosunku do kryzysu moralnego, do „chlewu”, i doszukałem się: już wiem, że mi jego mieszkańców po ludzku żal.

Usiłuję wzbić się na wyżyny swojej empatii i pojąć złożoność czynników, w których nasi reprezentanci muszą funkcjonować. Myślę o ich dniu, który przez wiele godzin wysycony jest adrenaliną i kortyzolem, myślę o tym, że sami nieustannie spotykają się z wrogością, myślę o tym, że odczuwają nienawiść, o tym, że wszędzie widzą podziały i przeszkody, że przekrzykują się z mównic i w ławach sejmowych komisji, że tak mocno sfokusowani są na pragnieniu władzy, że oni również nie mają czasu by odetchnąć, by nabrać do czegokolwiek odpowiedniej dawki dystansu. I przychodzi mi na myśl jakiś gigantyczny, nieludzki eksperyment na, w gruncie rzeczy, niewiele rozumiejącym ssaku. Po prostu.

Stwierdzenie Ziemkiewicza pozostaje jedynie gorzką diagnozą, pozbawioną prób rekomendacji. Jakie jednak można poczynić rekomendacje w takiej sytuacji? Ze swej strony diagnozę tę pogłębiłbym jeszcze nieco. W wizji Ziemkiewicza to świnie

odpowiedzialne są za to, że mieszkają w chlewie. A czy nie jest przypadkiem również tak, że oto mamy wybudowany chlew, który nadaje się do zamieszkania wyłącznie przez świnię? Być może to miejsce determinuje charakter obowiązujących w nim stosunków, a nie odwrotnie? Prawda tradycyjnie oscyluje gdzieś pośrodku, ale i tak świniom już zaczynam trochę współczuć.

Być może jest tak, że świńskość polskiej klasy politycznej jest jedynie epifenomenem, jak czerwień rozgrzanego metalu? Nie wpływa na temperaturę tworzywa, ale jest jej nieodłącznym elementem? Towarzyszy społecznemu klimatowi, ale nie jest już jego przyczyną? Co w takim razie nią jest? O tym za chwilę.

Po jedenaste: nie gardź

Gdybym miał określić co jest racją bytu polskiej sceny politycznej, co określa całość jej specyfiki, stosunków w jej obrębie, odpowiedziałbym, że jest to pogarda (gdy nieco dłużej się nad jej istotą zastanawiam, nad jej znaczeniem dla samego zadzierzgiwania społecznych więzi, uplasowałbym ją na pierwszym miejscu wśród siedmiu grzechów głównych, wśród których *de facto* jej brak!). To pierwsza przyczyna, *spiritus movens*, to z niej wynika obserwowany całokształt. Pogarda ścieka niemal z każdego słowa, które skapuje z ust rządzących. Ale mimo wszystko – śmiem twierdzić – nie jest ona w polskim społeczeństwie niczym wyjątkowym. Polacy są systematycznie do pogardzania przyuczani i w klimacie takim czują się jak przysłowiowe ryby w wodzie. Co gorsza, Polacy nie tylko uczą się pogardy, ale sami, tym sposobem, stają się nacją notorycznie pogardzającą. Pogardzają chętnie, tłumnie i indywidualnie.

A zresztą, czy jest to tylko polska domena? Nieszczególnie. Nie trzeba wcale daleko szukać. Zastanawiający jest na przykład rozróżnienie w komentarzach, jakie pojawiają się pod wszelkimi internetowymi materiałami, ukazującymi różne, dramatyczne sceny. Pod filmami przedstawiającymi piekło wojny nie brakuje jadowitych, agresywnych wpisów, nie inaczej jest w przypadku drastycznych treści ukazujących – choćby – mafijne porachunki. Nie trzeba szczególnie długo grzebać w odmętach sieci, by natrafić na filmy dokumentujące np. egzekucje członków zwalczających się gangów, handlarzy narkotyków, czy policjantów „*off-duty*”, którzy na własny rachunek urządzają przestępcom nieregulowane prawnie rzezie. Reakcje oglądających to internautów można dokładnie prześledzić i łączy je jedno: od pogardy jest tam aż duszno. Ofiary spotykają się tam z ostatecznym potępieniem, są szkalowane, stają się przedmiotem ironicznych docinek. Oczywiście, nie trafia to na niewiniątka: często ukazana jest tam śmierć morderców, zbrodniarzy. Powiniennem w tym miejscu zadać przytomnie jakieś podniosłe retoryczne pytanie, ale nie wiem, jak je skonstruować. Pozostawię to zatem szanownemu Czytelnikowi.

Po co o tym piszę? Ponieważ uderza mnie, z jaką falą współczucia potrafię jednocześnie spotkać się pod filmami ukazującymi cierpienie zwierząt. Cierpienie zwierzęcia jest w naszej kulturze (a za sprawą globalizacji już nie tylko w naszej), a dokładniej, w jej warstwach średnich i wyżej, powoli równoznaczne z cierpieniem dziecka. Jest niezawinione, z gruntu złe. Liczba współczujących komentarzy nie przekracza setki. Pod filmem ukazującym ostatnie pożegnanie właściciela z psem komentujący wspominają swoich pupili, roznamiętniają się we wspomnieniach wielkiej przyjaźni, przywiązania (oczywiście jeszcze jedna to okazja, by ździebko popomstować na brak tychże u ludzi!) etc.

I dla kontrastu: dwudziestokrotnie więcej komentarzy jest pod innym filmem, tym razem ukazującym najlepszego przyjaciela człowieka pożywiającego się... czymiś zwłokami. Ciało jest bez głowy, wygląda na dość, a nawet na bardzo młode. Kraj Trzeciego

Świata. I rzeka pogardy, spiętrzona fala „cyber-porzygu” na kulturę tamtego regionu. A mnie znowu ciśnie się na usta nieokreślone pytanie. Jest w tym jakaś ponura niewytłumaczalność.

A zatem polityka to jedynie jeden z wielu przejawów kultury (czy jak niektórzy mawiali – przemysłu) pogardy. Jej pierwotnych źródeł można doszukiwać się w różnych sferach. Marksisci będą się ich dopatrywać w panujących stosunkach pracy (co, jak miemam, w czasach pracoholizmu może być nawet bliskie prawdy). Teorie Marksa szczególnie aktualne dla doby industrializmu, w społeczeństwach post-przemysłowych warto uzupełnić o stosunki komunikacji i ich naturę. To narzędzia komunikowania w ogromnym stopniu zdefiniowały charakter działalności ekonomicznej i politycznej (temat na osobny tekst). To również za ich sprawą wyłaniają się takie, a nie inne style zarządzania zespołem, prowadzące do układów – otóż to – skrajnie pogardliwych, cechujących się wysokim napięciem, nastawieniem na maksymalny zysk ze stratą dla psychicznego komfortu (mieć miast być), zalecaniem objawów w miejsce przyczyn, erozją kapitału społecznego, destrukcją stosunków rodzinnych, i tak dalej...

Styl demokratyczny: to już było

Ze studentami, co roku, nieustannie przerabiam subtelności związane z poszczególnymi stylami zarządzania. Dla psychologów społecznych typologia Kurta Lewina to żadne odkrycie, zwłaszcza, że różnice między stylem demokratycznym, autorytarnym i przyzwalającym opisano w zasadzie tuż po wojnie. Nietrudno zrozumieć, dlaczego w klimacie, jaki panował po obaleniu III Rzeszy Lewinowe hipotezy zdążyły w stronę apoteozy stylu demokratycznego. Otóż cechować się on ma szerokopasmową komunikacją we wszystkich kierunkach, płaszczyznach i wymiarach, tolerancją, swobodą, poczuciem wolności wśród podwładnych, znaczną kreatywnością, gotowością do udzielania pomocy, do współpracy. Lukrowana laurka jest długa. Zapytuję niekiedy moich słuchaczy, czy demokratyczny model ma słabości – odpowiedź jest na ogół ta sama: czas. Skoro wszyscy muszą się dogadać, jak melorecytował Gintrowski, w atmosferze wzajemnego zrozumienia, to oczywiście, że przeznaczą na to dużo czasu.

Argumentacja ta przekonuje mnie w zupełności, a jednocześnie uświadamia, że owo bezlitosne kryterium – czas – powoduje, że demokratyczny styl funkcjonowania jest w społeczeństwach Zachodu fikcją. A przynajmniej jest on fikcją w szerokim horyzoncie stosunków zatrudnienia. W przyśpieszającym społeczeństwie po prostu nie ma już dość czasu na wzajemne dogadywanie się i szacunek. Styl zarządzania, który miłościwie nam panuje, przechodzi w stronę autorytaryzmu, ma na to żelazny glejt podpisany przez niewidzialną rękę rynku. Demokracja zwyczajnie nie opłaca się tak jak autorytaryzm. Zły pieniądz po raz kolejny w historii wypiera ten dobry.

A jakież to mamy podręcznikowe cechy stylu autorytarnego? Nie licząc jego pożytków w okresie wojny, ma on praktycznie same wady: ogromny stres wśród pracowników, nieufność, poszukiwanie kozłów ofiarnych, niska kreatywność, gotowość do podkładania sobie świni... barwna, zachęcająca paleta wynikająca z obawy przez karą, która spaść może w każdej chwili. Oczywiście dorzucić należy do tegoż menu wysoki poziom wzajemnej agresji i niszczenie sprzętu, czego prawdopodobieństwo jest aż o 33 razy wyższe niż w przypadku grupy demokratycznej.

Znakiem czasu i jednocześnie symbolem porażki stylu demokratycznego jest grafika, na jaką natknąłem się parę lat temu. Obraz przedstawiał biurko, na nim komputer, przed ekranem, z głową ułożoną na blacie, siedzi sterany pracownik. Zaklina biurową rzeczywistość mantrą: „brud mnie nie kała, jestem cholernym kwiatem lotosu na cholernej tafli spokojnego jeziora”... Kolejne pytanie retoryczne powinno brzmieć: jak

duży odsetek białych kołnierzyków mógłby się podpisać pod podobnymi treściami? A przecież jest to wspaniały przykład pogardy, jaka przeewoluowała do stadium milczącego standardu. Nowe niewolnictwo, pamiętajmy, to nie tylko śmieciowe umowy i niskie zarobki. To – jako rzecz internet – stan umysłu (bo obu stronach biurka, kasy i lady).

Czy można orać tubylcem?

Sądzę, że mało pomocne będą tutaj stosowne regulacje, nawet gdybyśmy mieli nasać na wszystkie niewolnicze przedsiębiorstwa i urzędy jakąś ponadpaństwową Inspekcję Pracy, na nic nie zda się to w sytuacji, gdy standardy te siedzą wszystkim głęboko w mózgach. W czasach wielkich odkryć geograficznych, w pierwszych latach, gdy poczyniono kontakt z tubylcami, do rangi pierwszorzędno pytania urastało: „czy aby na pewno mamy do czynienia z ludźmi?” Wojciech Burszta wspomina, że zupełnie poważnie pytano o możliwość orki z użyciem tutejszych jako zwierząt pociągowych. Czy jest to świadectwo złych intencji? Niekoniecznie. Był to po prostu styl myślenia, który dopiero podpatrzony z zewnątrz może nosić znamiona nędzy człowieczeństwa. Przewrót, jaki musiał się wówczas dokonać w głowach Europejczyków porównać można chyba tylko z kontaktem z obcą cywilizacją. Z naszej perspektywy, rzeczy oczywiste urastały wówczas do rangi absolutnie fundamentalnej. Nasze czasy niestety na ogół musimy oglądać „od środka”.

Ta skrajna względność dowodzi jedynie, jak dalece różnić się mogą światy, które każdy z nas (czy to za sprawą kultury, czy wreszcie indywidualnego doświadczenia) nosi we własnej głowie. Świetnie opowiada o tym choćby w „Antropologu na Marsie” psychiatra Oliver Sacks, drobiazgowo opisując zaburzenia neurologiczne swoich pacjentów. Wspomina on między innymi przypadek malarza, który ulegając wypadkowi, stracił możliwość widzenia barw. Obraz jego świata stał się czarno-biały – mówiąc najprościej. Wydaje się to doświadczeniem mało wygodnym, ale lepszym od całkowitej ślepoty, prawda? A jednak pacjent nie był w stanie kompletnie funkcjonować, przekonany, że żyje w półmartwym świecie. Jego rozterki były daleko gorsze aniżeli wśród tych, którzy „po prostu” stracili wzrok. Czym innym bowiem jest, pisze Sachs, oglądanie czarno-białej telewizji, czy fotografii, w tym obrazów ludzi jedzących np. jabłka. Mózg w dalszym ciągu śledzi te obrazy na zupełnie innym gruncie, wsparty doświadczeniem życia w świecie kolorów. Tymczasem pacjent musiał przyjmować posiłki z zamkniętymi oczami, gotów zwymiotować na widok ciemnoszarych owoców czy czarnych warzyw. Zrozumieć tę odragę można wyłącznie żyjąc w świecie bez barw, a nie oglądając czarno-białą telewizję. Artysta przygotował zatem interesujący eksperyment. Normalny pokój przemalował zgodnie z tym, co widział na co dzień, stosując wyłącznie odcienie szarości. Każdy, kto gościł w takim pokoju twierdził, że wrażenie było co najmniej odpychające. A przecież, żeby oddać „pełnię odczuć”, każdego odwiedzającego należałoby również zamalować od stóp do głów na szaro. Dopiero przebywanie w takim świecie i w takim cieple może odsłonić przed nami obraz tego, co ktoś inny faktycznie może mieć w głowie, z czym żyje od lat. Nauka płynąca z lektury przypadków opisywanych przez Sachsa stosuje się jednak daleko częściej i szerzej, aniżeli wyłącznie do zrozumienia przypadków chorobowych. Każdy wszak ma jakiś tam świat w głowie, zbudowany na bazie doświadczeń, wielu lat mimowolnego, społecznego treningu. Gdy myślę o politykach, pobrzmiwa mi w głowie ten przypadek – ludzi od lat trzymany na krótkiej smyczy potwornego stresu i warunkowania. Mam tylko mgliste pojęcie o tym, co się wtedy myśli. Mam tym bardziej mgliste pojęcie na temat tego, co zrobiłbym, co myślałbym sam na ich miejscu.

Zrozumienie mechanizmów wzajemnej pogardy, jaka dzisiaj rozkwita na każdym kroku wymaga takiej właśnie próby zanurzenia się w umysł przeciętnego gardzącego i gardzonego (najczęściej w jednej osobie). W tym punkcie pojawia się właśnie miejsce dla empatii – cechy, która w ostatnim czasie została zepchnięta mocno do defensywy. W zespole autorytarnym trudno jej się doszukiwać. Współczucie zmniejsza wydajność, a więc zwiększa ryzyko poniesienia kary. Empatii nie będzie, dopóki zmniejsza ona możliwe zyski. Pogarda – jak w prawie Kopernika-Greshama – w sposób naturalny wypiera empatię.

Palec, który gardzi

Pogarda – i była to dla mnie ciekawa dość obserwacja – stała się elementem stałego przekazu młodego pokolenia. Dyskutując ze słuchaczami kwestię związaną z ograniczeniami współczesnych technologii komunikacyjnych, poprosiłem, by rozwinęli kwestię komunikatu niewerbalnego. Na ile precyzyjnie możemy przekazać takie treści? Pierwsza z brzegu odpowiedź, jaka padła to kwestia emotikonów – zrozumiałe. Jednak później przysłała kolej na znacznie bardziej subtelne znaczenia. Przykładowo, dowiedziałem się, że kończenie zdania kropką odbierane jest jako wyraz agresywnych zamiarów. Kropką kończą zdania ludzie pokłóceni. Kropka komunikuje złość. Zwykły uśmiech (dwukropek + nawias) od dawna już – okazuje się – nie komunikuje przyjaznych intencji. Określa się go jednoznacznie: „uśmiech nienawiści”. Gama emocji, jaka za nim stoi wpisuje się – najogólniej mówiąc – w barwny pejzaż złych intencji i *Shadenfreude*. Najbardziej zaskoczył mnie jednak „kciuk pogardy”, niewinnie wyglądający palec wyciągnięty w górę, najczęściej kojarzony, wydawałoby się, z lajkowaniem. Symbol zdecydowanie pozytywny? Nic bardziej mylnego. Zamieszczenie w internetowej rozmowie takiegoż kciuka oznacza mniej więcej tyle co „skończyłeś?” i od strony emocjonalnej znamionuje zniechęcenie wymieszane z obrzydzeniem. Słyszac te i podobne nowiny zacząłem się zastanawiać, iluż tu wirtualnych rozmówców zupełnie niechcący naobrazałem. Jeśli któryś z nich to czyta: przepraszam!

Korepetycje dla Kopciuszka

Jeszcze kontekście empatii względem rządzących. Wpadła mi w ręce niedawno całkiem ciekawa książka, niejakiego Jamesa Doty’ego, neurochirurga, który streścił w niej fascynującą historię swojego życia. Tytuł – „Mózg i serce” – zdradzał poniekąd to, o czym mowa będzie w środku. Ale po kolei. W dzieciństwie Doty lekko nie miał. Urodził się w rodzinie patologicznej: matka pogrążona w nieustannej depresji, ojciec rzadko trzeźwił. Mały Doty, jeśli w ogóle pojawiał się w szkole, to zawsze zaniedbany i głodny. Któregoś dnia natrafił na kobietę imieniem Ruth (historia ta przypominała mi przetrwoną przez Zachód buddyjską wersję Kopciuszka), która kierowana głębokim współczuciem dla losu chłopca, zdradziła mu kilka tajemnic, które miały mu pomóc w uporządkowaniu swojego życia, a w dłuższej perspektywie – spełnić jego marzenia. Jak przystało na książkę z błogosławieństwem samego Dalajlamy, techniki te okazały się czerpać pełnymi garściami z tradycji Dalekiego Wschodu. Doty nauczył się relaksacji, niemyślenia o niczym, a także... trudnej sztuki współczucia.

Mniejsza o jego życiowe perypetie, zakręty, jakie ledwo udało mu się pokonać. Doty odniósł sukces. Nie tylko wyzwolił się z kajdan patologii. Spełnił swoje marzenia. Jasne, że brzmi to jak kolejna coachingowa ściema, jakich na rynku jest znacznie więcej, niż potrzeba. To, co budzi moje zaufanie, to realny trud, przed którym książka Doty’ego przestrzega. Nie jest to łatwa ścieżka – w przeciwieństwie do zdecydowanej większości remediów na bolączki współczesności. To oczywiście prosty przykład i historia jedna

spośród wielu o odzyskaniu spokoju, dystansu do siebie, do świata. W ślad za tymi korzyściami pojawiają się jednak kolejne: wyzbycie się pogardy. W innym miejscu, przy innej okazji proponowałem, by treści popularyzowane przez Doty'ego trafiły do podstawy programowej w polskich szkołach (wołanie na pustyni). Podobny coaching przydałby się – mówię to bez cienia ironii – rządzącym.

Piszę te słowa i wsłuchuję się w gromy spadające na głowy niektórych opozycjonistów po kolejnej aferze. Będąc naprawdę dalekim od rzucania kamieniami, śledziłem mimo wszystko przy tej okazji forumowe dyskusje i natrafiłem na interesujący wpis. Jeden z internautów pohamował się od ocen, zacytował jedynie św. Urszulę Ledóchowską: Inaczej na bliźnich (...) patrzy dusza przejęta przekonaniem o swej nędzy, a inaczej dusza, która choćby w najskrytszych swoich tajnikach wynosi się nad inne. Nie myśl, że naprawdę stawiasz innych wyżej od siebie, jeśli nimi gardzisz, patrzysz na nich z lekceważeniem, gorszysz się ich wadami. Nie tłumacz sobie, że takie usposobienie da się pogodzić z prawdziwą pokorą. Jeżeli to wmawiasz w siebie, jesteś w najkompletniejszym złudzeniu. Wierz mi, im gorzej o sobie myślisz, tym jaśniej patrzeć się będziesz na bliźnich... Im zaś ostrzej sądzisz bliźnich, tym mniej masz pokory, tym bardziej jesteś przekonana, choć się do tego za nic nie przyznajesz, żeś lepsza od innych.”

Poprawka: to jest dopiero wołanie na pustyni!